



*Maria Dębowczyk*

## Olszowiec dawny w zapiskach wiejskiego nauczyciela cz. 2

**W poprzednim "Głosie Regionalistów" przedstawiono początki oświaty szkolnej w Olszowcu sięgające 1913 r. Kontynuacją tematu jest poniższy szkic traktujący o czasach wojny i okupacji, do późnych lat pięćdziesiątych.**

**Przypomnijmy, że głównym źródłem informacji jest kronika wieloletniego kierownika szkoły Zygmunta Guzowskiego.**

Wybuch wojny, wtargnięcie wojsk niemieckich, a wkrótce sowieckich we wrześniu 1939 r. Wydarzenia te uniemożliwiły rozpoczęcie roku szkolnego w olszowieckiej szkole.

Dopiero po ustąpieniu bolszewików i powrotnym zajęciu kraju przez władze wojskowe niemieckie, które wezwały wszystkie osoby do zajęcia swoich stanowisk w służbie publicznej (...) na skutek zarządzenia inspektora szkolnego z dn. 9 października nastąpiło otwarcie szkoły, którego to dnia odbyło się nabożeństwo w Bychawie, ale z powodu dużego deszczu dzieci tutejsze do kościoła nie poszły.

Wkrótce społeczeństwo wiejskie zaczęło boleśnie odczuwać skutki okupacji. Pod niejednym dachem zadrżała bieda. I zakradł się strach o los najbliższych. Poważne braki finansowe w kasie gminy, a w istocie pustka, sprawiły, że zimą brakowało w szkole opału. Sołtys Tomasz Bielecki próbował organizować wozowanie gałęzi, a kierownik Guzowski tłumaczył dzieciom potrzebę przynoszenia do szkoły wiązek polan i chrustu. Niewiele to polepszyło sytuację i z konieczności szkołę po prostu zimą zamknięto na czas dużych mrozów. Pogłębiająca się bieda na wsi spowodowała, że dzieci niemające ciepłej odzieży i butów opuszczały zajęcia szkolne. A nowym władzom gminy obsadzonym przez Niemców, nie zależało na regularności pracy szkoły. Szkoły, w której wkrótce zaprowadzono niemiecki porządek i zarządzenia, jakże restrykcyjne dla Polaków: z programu wycofano naukę historii Polski, geografii i języka polskiego. Dwujęzyczna były dzienniki lekcyjne, świadectwa szkolne i inne druki. Z tekstu modlitwy zniknęły słowa *Królowo Korony Polskiej, módl się za nami*. Do polskiej nazwy szkoły nad wejściem do budynku dopisano jej wersję niemieckojęzyczną. Ze ścian usunięto portrety polskich mężów stanu i przywódców, był też zakaz używania pieczęci z godłem Polski. Zostawiono jedynie krzyż. Podręczniki polskie rozkazano zebrać i przekazać do Lublina. Jednak korzystając z niedopilnowania, udało się ten zakaz ominąć. Jak również ukryć i zabezpieczyć skromny księgozbiór biblioteki szkolnej i mapy.

Nowością było wprowadzenie nauki o ziemiach Generalnej Guberni (...). Wła-

dze szkolne zupełnie nie interesowały się frekwencją (...) szkolnictwo było zaledwie tolerowane przez Niemców, a przymem wyszyskiwane jako instrument propagandy na rzecz zwycięstwa niemieckiego (...). Nauczycielstwu powierzano sporządzanie różnych spisów statystycznych, planów, żądano, by nakłaniało ludzi do wyjazdu na roboty do Niemiec (str. 136 kroniki)

Niezwykle uciążliwe i wyniszczające dla rodzin chłopskich były kontyngenty, do ich obliczania i dokumentowania też zatrudniano nauczycieli.

Starsi pamiętają, a młodzi znają z ich przekazów, jakie ograniczenia i ubóstwo niosł z sobą system kartkowy zaopatrzenia ludności w żywność, obuwie, odzież. A przecież i tak te artykuły pierwszej potrzeby były jak na tamte ciężkie czasy, drogie. Bronić się przed całkowitą eksploatacją produktów rolnych, trzody chlewnej (oznakowanej - kolczykowanej), warzyw, a nawet drzewa wieś rozwijała pokątny handel - szmugiel. Z narażeniem bezpieczeństwa, pod karą więzienia, handlowano nielegalnie ukrytym zbożem, mielonym w domowy sposób na mąkę. Kwitło pędzenie bimbru, co miało opłakane i długo po wojnie odczuwane następstwa. Czymś powszechnym był nielegalny wyrób masła, oleju, nawet mydła. Ujawnienie tego procederu pociągało za sobą kary, w tym wywóz na roboty - taki los spotkał 10 mieszkańców Olszowca (...) nastąpił ucisk gospodarczy. Ludność zobowiązano do dostarczania kontyngentu zbożowego, inwentarza żywego, mleka, jaj, warzyw i owoców, po cenach niewiele wyższych od przedwojennych (...) artykuły przemysłowe zniknęły z wolnego handlu.

Olszowiec nie był na szlaku przemarszu wojsk niemieckich, które szły przez Bychawę w kierunku na Wysokie i Krzczonów. Przez wieś ciągnęły gromady uchodźców z dzielnic zachodnich Polski, uciekające przed wrogiem. W drugiej połowie września '39 i na początku października fale tych samych ludzi i rozbrojonych żołnierzy polskich znów wracały do swoich domów. Wieś na ogół życzliwie przyjmowała nieszczęśliwych dając im schronienie i posiłek, a żołnierzy ukrywała, dając im cywilną odzież...

Niemcy objęli administrację (...) rozwiązali w Bychawie radę gminną oraz zawiesili wszelką działalność związków i stowarzyszeń społecznych i oświatowo - kultu-

ralnych, zakazali zebrań. zaraz w listopadzie w miejsce dotychczasowego wójta przysłali komisarycznego - Niemca.

Ale mimo to istniały we wsi podziemne organizacje polityczne. Swoje placówki wojskowe mieli partyzanci z AK i BCH, starsi mieszkańcy trwali raczej przy Stronnictwie Ludowym.

Władze AK powołały posterunek żandarmerii, czynny aż do wejścia wojsk radzieckich. Zastępą placówek wojskowych było zwalczanie bandytyzmu, który się szerzył w ostatnich latach okupacji, a uprawianego zwłaszcza przez Żydów, ukrywających się w okolicy, po ich wysiedleniu z Bychawy. Mimo to Olszowiec był terenem wielokrotnego najścia band, które ograbiły spółdzielnię i rabowały gospodarzy.

Wieś nie uniknęła aresztowań, więzienia, wywózek. Ofiar śmiertelnych, jako skutku okupacji i toczących się walk. Kilku mężczyzn poległo w głośnej na Lubelszczyźnie akcji „Burza”, jej epizod zagrażał się w okolicy Bychawy 23 i 24 lipca 1944. AKowcy i BCHowcy zaatakowali już wycofujących się Niemców, w Lublinie byli już czerwonoarmiści. Zginęli Stanisław Dziadosz, Michał Pawlak, Władysław Korba.

Niemcy w odwecie zaczęli podpałać domy, stojące bliżej drogi do kolonii i we wsi. Spłonęło 8 domów, 5 stodoł, 8 obór oraz kilkanaście innych budynków. Przeważnie mieszkańcy opuścili domostwa, uchodząc w pola a żołnierze plądrowali i rabowali (...). Pożarem zostało poszkodowanych 10 gospodarzy... Budynki szkolne, gdy palono w pobliżu stodoł Trumińskich, też były zagrożone. Następnego dnia przeszły ostatnie rozbitki niemieckie.

Już 1 września 1944 r. otwarto szkołę, by wznowić naukę. Szczególną wymowę miała Msza święta z udziałem nauczycielstwa i dzieci w kościele bychawskim. Ze wzruszeniem obchodzono też 11 listopada rocznicę odzyskania niepodległości, ciesząc się wolnością podwójnie. Nawet zniszczenia i straty nie przyćmiły tej radości.

W miarę umacniania się władzy ludowej i postępującej sowietyzacji przybywało w kalendarzu imprez szkolnych i gminnych, uroczystości dotąd nie znanych, wymuszonych systemem politycznym jak dzień zwycięstwa 9 maj, czy 1 maja wraz z całym właściwym sobie wystrojem. W r. 1947 kronikarz zanotował m. in.

W dn. 6 lutego podczas wizyty duszpasterskiej szkołę odwiedził ks. Jan Soroka, proboszcz z Bychawy. W dn. 30 maja dr Stanisław Gutek, jako lekarz Ośrodka Zdrowia w Bychawie dokonał przeglądu dzieci.

Dalej, w tym samym roku zanotowana ciekawostka wiele mówiąca o powojennej kondycji szkółki wiejskiej, która w ramach, przydziału otrzymała 1 metr, 1 ekierkę, kątomierz i cyrkiel do nauki geometrii.(!)

Od r. 1949 nauczyciele z Olszowca, jak i wszyscy w ogóle, „stosownie do zarządzenia Ministra Oświaty już nie prowadzili dzieci na Mszę św. do kościoła, szwajlając na indywidualne pójście do kościoła w czasie poprzedzającym uroczystość (str. 162 kroniki)”

W programie wychowawczym szkoły obowiązkowo rokrocznie pojawiały się obchody miesiąca przyjaźni polsko - radzieckiej, kolejnych urodzin J. Stalina.



Zespół taneczny dzieci z klasy II wykonujący walc akrobatyczny r. 1962/63

Silnie akcentowane były zwłaszcza rocznice rewolucji październikowej. Ale w dniu 3 maja odbyły się już tylko pogadanki o konstytucji, był to dzień normalnych zajęć (zapis z r. 1948 s. 161).

Władze przy pomocy i udziale nauczycielstwa rozpoczęły z początkiem lat 50. walkę z analfabetyzmem. Analfabeci jednak bronili się jak mogli, i zamiast zapisanych 18 uczęszczało na kurs 8, jeden uczył się w domu (ekstern!), egzamin zdało 9 (zapis w kronice 1948 r. s. 163).

Po 37. latach pracy w olszowieckiej szkole opuścił placówkę 1 września 1953 r. kierownik szkoły, przenosząc się na własną prośbę do szkolnictwa w Lublinie - był to ostatni zapis Zygmunta Guzowskiego w dn. 21.08.1953 r. Odchodził nie bez żalu, wszak mieszkał tu z rodziną tyle lat, związany z lokalną spo-

łecznością na dobre i na złe. Na krótko kierowanie szkołą przejął Zbigniew Sulimierski, po nim przez trzy lata funkcję pełniła Anna Czarnik, od roku szkolnego 1958/59 zastąpił ją dotychczasowy nauczyciel matematyki Aleksander Kowalczyk. Z tego okresu pochodzą zamieszczone zdjęcia.

Dwuczęściowa informacja o szkole i wsi tu zamieszczona nie miała być w zamierzeniu autorki dokładnym odzwierciedleniem jej funkcjonowania. Chodziło o zaakcentowanie związku i zależności zwłaszcza między małymi szkołami wiejskimi a środowiskiem. Szkoły są ważną częścią historii miejscowości. Szkoda, że reorganizacja szkolnictwa w ostatnich latach i uwarunkowania społeczno - polityczne przyczyniły się do przerwania tego związku w wielu wiejskich społecznościach.



Grono nauczycielskie w r. szkolnym 1960/61. Od lewej: kierownik szkoły - Aleksander Kowalczyk, Teresa Gryka, Teresa Świtek, Maria Kowalczyk, Helena Szymula, Józef Gadzała



Rok szkolny 1962/63. Od lewej: Władysława Szmidt - sekretarz Komitetu Rodzicielskiego, Marian Kowalczyk - kierownik szkoły, Władysław Gąbka - przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego, Aniela Nowak - skarbnik tego komitetu, nauczycielki - Teresa Gryka, Teresa Świtek



Rok szkolny 1963/64 kierownik szkoły włącza program telewizyjny z okazji zebrania rodziców.

# Jak Kopytkowa afery nie wykryła



Rys. Szymon Kobylirski

Upał tego dnia mógł zważyć z nóg nawet Murzyna. Kierownik Zyguła rozciąpnął się nad biurkiem zarzuconym papierami, kiedy dało się słyszeć za drzwiami szurum – burum. Znajome człapanie nie pozostawiało cienia wątpliwości – to Kopytkowa wzięła się za sprzątanie. Puk, puk – trzonkiem szczotki w drzwi. Kierownik wbił wzrok w biurko i przybrał minę niezwykle zapracowanego poprawił się w fotelu.

– Zwracałem uwagę Kopytkowej, że sprząta się po godzinach pracy biurowej – wycedził, ale przerwał w pół zdania napotkawszy dziwne, pełne wyrzutu i surowości spojrzenie.

– Ano, przyszedłem wcześniej. Bo jest paskudna sprawa... Sprawa kryminalna!

– Nie rozumiem – Zyguła był jeszcze zasadniczy.

Nagle Kopytkowa zrobiła półobrót, jakby chciała coś ukryć. Zaszeleściła papierem. Wyjąwszy karteczkę z przepastnej kieszeni służbowego fartucha przeczytała dukając: sprawa wagi państwowej... Karteczka sfrunęła do kosza. Reakcja Zyguły, jego sztuczny śmiech zgorszyły Kopytkową. I oto w jej ręce szeleściła następna karteczka.

– Korupcja! U nas, tu! (stuknięcie szczotką w podłogę dla podkreślenia powagi tych słów)

Kierownik rozejrzął się trwoźnie wokół i rzekł ostrzegawczo:

– No, no Kopytkowa, uważać co się mówi. O co chodzi! Gdzie korupcja?

– Tu wykryta – jedno zerknięcie na karteczkę. Wykryta afery!

– Afery? Tu, u nas? – jaka afery? Kto wykrył? Kiedy? Co to za bzdury?

Po każdym słowie łapał oddech i coraz bardziej wytrzeszczał oczy.

– Ja! Ja! – zakrzyknęła. Tu stuknięcie trzonkiem. Uderzenie się w bujne piersi i towarzyszące temu sapnięcie miało podkreślić rolę Kopytkowej w ujawnieniu afery.

Sapnięcie, szelest kartki i słowa:

– Som poszlaki i trza powołać komisię śledczą – tu potoczyła groźnie wrokiem. I widać zmęczona odczytaniem tej dłuższej kwestii opadła z westchnieniem na pierwsze wolne krzesło, miotając wrokiem w prawo, w lewo, i wprost na Zygułę.

Jakaś siła niepojęta przygwoździła go do fotela. Jak tknięty paralizem nawet się nie poruszył. Nawet brzęczenie much obijających się o szyby nie przerwało pełnej napięcia ciszy. Czuł strugi zimnego potu spływające po plecach, a głowę rozsadały dziesiątki chaotycznych pytań: czyżby coś wiedziała? ale skąd? ktoś doniósł? Przecież poza mną nikt... Jak to się mogło wydać?

Do stanu świadomości przywołał go znajomy szelest. Kopytkowa buszowała w kieszeniach jak mysz w spizarcze, wy-macała.

– Ktoś tu złożył komuś propozycję korupcyjną – odczytała z trudem, ale wyraźnie, widać, że ćwiczyła rolę w domu.

Zyguła czuł, że podłoga biura jakby się pod nim ugiwała. Z kołowrotu myśli jedne wracały natrętne i uporczywie: co ta baba wie, Chryste Panie, czyżby podsłuchiwała? A może ten co dał kopertę to prowokator? Napuszczony na mnie? I ile ona ma jeszcze tych karteczek?

Głośno, siląc się na swobodę spytał o te karteczki:

– Wnuczek mi spisał na karteczkach, bo nie mogłam spaścić. Każdego dnia ogląda Komisję Śledczą a Rokita, to jego idol... Nasz Marcinek chce studiować prawo.

Kolor twarzy kierownika Zyguły nie różnił się od kredowej ściany biura zawieszonyj dyplomami uznania dla zakładu.

– Myślę, że pan kierownik sam zechce... szczerze...

– Ecco z- z -e- chcę – wystękał trupobiału Zyguła (ona chce, żebym się sam

przyznał, to może jeszcze nic na mnie nie mają, sprytnie babsko!)

– Ze zechce pan sam przesłuchać Drozdowo...

– A co do tego ma Drozdowa? (jeszcze mi tu drugą na kark nasyla, co tamta może wiedzieć?... szantażują mnie te baby?)

– Rozchodzi się o ścierki... Drozdowa mówi do mnie: wydają ci w biurze nowe ściery do sprzątania? Wydają. My je sprzedajemy na targu taniej, żeby łatwo szły. A coby nikt się nie potapał ty sprzątasz starymi, już ja ci je doniesę... szybko się rozlażą, to znowu ci nowe wydadzą. Co zarobimy, to podzielimy na dwa. Mój Zenuś policzył, że można z tego wyciągnąć 20 zł, a może i więcej na miesiąc. To – mówi on – starczy na chleb, a może i margarynę.

– Panie kierowniku, czy ja uczciwa obywatelka przed emeryturą, mogłam na to pójść, no- mogłam?

Tu Kopytkowa zawiesiała głos melodramatycznie.

Ciałem Zyguły wstrząsnął dziwny skurcz. Parokszym śmiechu omal nie rozsądził go od środka. Szybko zebrał się w sobie, odchrząknął:

– Gdyby więcej było takich jak Kopytkowa, to byśmy nie mieli tego całego bajzlu na górze, mogą się od nas, Kopytkowa, uczyć wszystkie Nałęczce, Ziobra i Rokity, jak wykrywać korupcję. A politycy – praworządności – tu poprawił krawat. A Kopytkowej za obywatelską postawę i ochronę dobrego imienia zakładu pracy należy się premia – ostatnie słowa wypowiedział już z trudem, dziwnie skrzywiony trzymając się za brzuch.

Jakoś dziwnie pokuśtykał do drzwi. Po chwili z biurowej toalety do uszu Kopytkowej doszedł szum spuszczonej wody.

Lu-na

# Głos w sprawie płucia



Sposoby zasadniczo są trzy, jak można zaobserwować na ulicy. Pierwsza „na strzyk” Idzie młodzieniec naprzeciw nas, wiek na oko 14-16, ręce w kieszeniach, chód chybotliwy na obie strony. Znak rozpoznawczy: szerokie spodnie z opuszczonym krokiem, głowa (mówi się glaca) często łysa. No więc idzie, idzie, a kiedy już jest na odległość metr – dwa, z jego otworu gębowego wystrzelują celnie, wprost pod nasze nogi strzyk śliny. Energiczny i efektowny, widać długo magazynowany. Na tę okazję?!

Metoda druga zwie się „prawa-lewa”. Początek może być jak wyżej, małe odstępstwa niewiele tu zmieniają. Tyle, że tym razem atak bardziej zmasowany. Są to dwa młodzieńce pograżone w towarzyskim dialogu (a dialog często gęsto przetykany swojskim słówkiem na „k”). W pewnej chwili jak na komendę odchylenie głowy w prawo – strzyk!, w lewo – strzyk!. Metoda – przyznać trzeba – wymaga perfekcji w sztuce strzyku i dozowania zapasów w otworach gębowych. Są tacy, którzy ćwicząc osiągną idealną długość dwu strzyków. No i ważna tu współpraca w duecie.

Trzecia metoda „na spuszcza”. Dla indywidualistów. Początek jak zawsze: idzie, kołysze się. Ale uwaga, tu pułapka: opuszczona głowa sprawia wrażenie zamyślenia. To nas uspokaja. Ale nic bardziej mylącego. Bo oto nagle znieścak, kilka kroków przed idącym z naprzeciwką – ciche: chlup! Kałużka spuszczonej śliny. Ostrożnie przechodniu!

W tej metodzie liczy się zaskoczenie i wycucie odpowiedniego momentu. Zanim osoba z przeciwną oprzytomnieje i popatrzy za mijającym go sprawcą bajorka śliny, zobaczy już tylko plecy. Przyznacie: prawdziwy majstersztyk!

Kochani i skądinąd sympatyczni młodzi: człowiek wydała z siebie to i owo. Nawet musi. Fizjologia! Ale w cywilizacji ludzkiej ustalono, że robi to w miejscach do tego przeznaczonych. I bez świadków. Dyskretnie. Trzeba pomyśleć, że naprzeciw lub obok też idzie homo. Nie chce być opluty (ani dosłownie, ani w przenośni).

**Pomyślcie o tym, że widok plującego na uczęszczanej ulicy wiele mówi o jego kulturze.**

mieszkanka

## Ulice, domy, ludzie



Pracownicy Urzędu Gminnego w Bychawie - podajemy na podstawie informacji p. Skirko: Dudziak - sekretarz, Frączek, Maria Berezowska, Danuta Skirko, Helena Bąbel

Pani Danuta Skirko kilka lat swojego życia spędziła u rodziny w Bychawie gdzie losy wojny rzuciły ją w 1942 r. po wysiedleniu z Bydgoszczy. I choć były to czasy naznaczone piętnem strachu o życie, wspomina ten okres (1942-1946) z sentymentem. Dla miejsca i ludzi. A wspomnienia wywołała lektura artykułu „Zrekonstruować sentyment” (Głos Regionalisty nr 3 (09) 2003) której jej przesłano.



Piotr Skirko

W Bychawie poznała swojego późniejszego męża Piotra Skirko, przed wybuchem wojny był sędzią w Równem. Po przyjeździe do Bychawy zamieszkała u swojej siostry Anny Filipowej – żony kierownika szkoły powszechnej Seweryna Filipa. Po ślubie udzielonym przez ks. Sorokę, Skirkowie zamieszkali w domu, w którym „herbaciarki” prowadziły sklep z asortymentem mydło – powidło.

Dzięki p. Danucie możemy sprostować pewne nieścisłości i uzupełnić fakty podane w w/wym. artykule o Bychawie, oto one. Wójtą gminy był wtedy Lipowski (imię?), przybył z Grudziądza, to jego żona Niemka założyła park miejski. Informacja to tym bardziej wiarygodna, że p. Danuta pracowała w urzędzie gminnych mieszczącym się w nowym, pięknym – jak wspomina –



Pogrzeb St-wy Spozowskiej - pracownicy gminnej

## Suplement do wspomnień

budynku. Mąż, Piotr Skirko był w 1942 r. inspektorem prowadzącym m. in. ewidencje nieruchomości żydowskich, w tym bożnicę.

Głęboko zapadło w pamięci p. Danuty pewne zdarzenie: na ulicy Bychawy



Małżeństwo Kwiatkowskich oraz p. Danuta Skirko z córką

Niemcy urządzili łapankę, podczas której w ich ręce wpadł młody człowiek, pochodzenia żydowskiego, S. P. Ukrywał go dotąd i ochraniał miejscowy ksiądz Więckowski, pochodził z Pomorza. Gdy zorientował się co zaszło, przybiegł z tą wiadomością do gminy, do p. Danuty. Ta, nie namyślając się wiele i reagując impulsywnie, wybiegła na ulicę krzycząc, że zabrano pracownika gminy. Jeden z Niemców wyciągnął z grupy schwytanych wskazanego przez nią S.P. Za chwilę ciężarówka ruszyła. Dopiero wtedy pojawił się strach: co by było, gdyby Niemiec chciał sprawdzić tożsamość człowieka? Sprzymierzencem okazał się tu pośpiech.

Z innych zapamiętanych szczegółów odnotujemy takie oto: wobec zakazu uczucia z polskich podręczników i ich braku zachodziła potrzeba ręcznego ich przepisywania, co odbywało się w ściślejszej konspiracji; na papierze przynoszonym przez p. Danutę z urzędu. Przepisane teksty odbierali łącznicy, nigdy osoby zainteresowane bezpośrednio.

*W Bychawie była bardzo dobrze zorganizowana partyzantka, która pomagała mieszkańcom w walce z okupantem (...) wy-rabiała dokumenty (fałszywe – przyp. M. D.) ludziom poszukiwanym (fragm. listu).*



Anna Filip - żona kierownika szkoły

Z innych osób godnych pamięci z sympatią wspomina młynarza Ławickiego i jego żonę nauczycielkę, oboje pomagali przetrwać ludziom jak mogli.



Małżeństwo Ławickich

Wspomina dr Maja, wspaniałego diagnostę i chirurga. Zginął z wyroku partyzantów posadzony o współpracę z Niemcami! Fakt rzekomej zdrady prostuje dr Jan Michalski (zob. Dzieje Bychawy s. 188-189).

Pani Danuta przekazała z rodzinnego albumu zdjęcia (kopie) z tamtego okresu. Bardzo serdecznie dziękujemy. I za to, że chciała podzielić się z czytelnikami Głosu swoimi odczuciami i wspomnieniami, i za przechowywaną pamięć o naszym mieście. Przesyłamy przyjazne pozdrowienia od bychawian oraz ciepłe, najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia.



Sympatycy parku miejskiego założonego przez żonę wójta

## Powiedz mi, co czytasz, a... powiem Ci, kim jesteś.

Amelia Dziurda-Multan

Jesień. Dłuższe wieczory. Początek sezonu na lekturę.

Tytuł tego artykułu jest świadomym nawiązaniem do poradników, z których możemy dowiedzieć się wiele – prawdziwych podobno – rzeczy o ludziach. Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych „nowoczesnych” czasach rzadko mamy możliwość czytania książki. Cóż, telewizja, internet... Na szczęście nadal wydawane są książki.

Rodziliśmy pytanie: dlaczego po jedne książki sięgamy chętnie, zaś inne nie budzą naszego zainteresowania? Okazuje się bowiem, że o tym, jakie książki czytamy, decyduje nasz charakter. Co więcej, nasze czytelnicze upodobania są najczęściej stałe i świadczą o naszej osobowości – przynajmniej tak twierdzą psychologowie. Ich zdaniem zwolennicy powieści to osoby, które cenią solidność, odpowiedzialność i pracowitość. W miłości zaś szukają przede wszystkim uczucia i bezpieczeństwa. Miłośnicy powieści potrafią konsekwentnie trwać przy prawdach mało popularnych, chociaż inni mogą mieć odmienne zdanie.

Czytelnicy, którzy wybierają książki o tematyce mitologicznej są często osobami kontrowersyjnymi, nierzadko pozostającymi w konfliktach z życiem, otoczeniem i z sobą. Mają skłonność do filozofowania, są przebijowi i zaradni w jednych dziedzinach, a zagubieni i zupełnie oderwani od życia w innych.

Miłośnicy poezji to ludzie wrażliwi i uczuciowi, bywają nawet zbyt sentymentalni (co może być drażniące dla otoczenia). Przed co-

dziennością chronią się we wspaniałym świecie marzeń. Nie lubią jednak podejmować decyzji i często zamykają się w wyidealizowanym świecie, choć – co zaskakujące – wolą towarzystwo ludzi śmiałych, ryzykownych, odważnych, a nie podobnych do siebie marzycieli.

Bajki i baśnie, chociaż z pozoru są książkami dla dzieci, wybierają osoby ceniące życie rodzinne, a także lubiące zgody, zwierzęta. Ci ludzie są świetnymi psychologami, dobrze dogadującymi się nie tylko z małymi dziećmi. Paradoksalnie jednak miłośnicy baśni, w których przecież dobro zwycięża nad złem, częściej narażeni są na rozczarowania w miłości.

Literaturę przygodową cenią ludzie o żywej wyobraźni, odważni, przedsiębiorczy. Miłośnicy książek przygodowych lubią zmieniać miejsce zamieszkania, znajomych, przyjaciół. Są zaradni i praktyczni, a do tego miewają talent „złotej rączki”.

Na zakończenie słów kilka o tych, którzy czytają dowcipy. Okazuje się, że są to osoby ze skłonnością do ironii i sceptycyzmu, ale obdarzone inteligencją. Są ambitni i bardzo wymagający wobec otoczenia. Jednak są wspaniałymi przyjaciółmi, więc można na nich liczyć w trudnych sytuacjach.

Wiadomo, by poznać drugiego człowieka, najlepiej jest zjeść wraz z nim przysłowiową beczkę soli. Zanim jednak to nastąpi, może warto zapytać o jego ulubione książki?